

Wybrzydzenie na klęczkach

Na klęczkach wielbię twórczość Sławomira Mrożka, szczególnie „Tango” i „Emigrantów” cały cykl „zwierzęcy” i znakomite, błyskotliwe opowiadania z „Listem Kapitalizmu do drogiego Socjalizmu” na czele. I przebywając wciąż na tychże klęczkach z największą pokorą ośmielam się wyznać, iż ostatnią sztukę Mrożka, „Alfa”, uważam za słabą i nieudaną i to nie tylko z przyczyn przez autora przewidzianych i na zapas odparowanych w słowie wstępnym.

„Wiem na pewno, że ta sztuka nie przysporzy mi powszechnego uznania. Sprawy są żywe i bolesne, moja sztuka jest brutalna. Sprawy są złożone — moja sztuka upraszcza. Wiem też, że napisać inaczej nie mogą. Dobrze to czy źle, słusznie czy nie słusznie — piszę jak muszę. A że do takiego, a nie innego pisania nie zmusza mnie nikt i nic poza moim pisarskim sumieniem, nie ma na to rady” — stwierdza w zakończeniu swojej przedmowy autor, w pewien sposób wytrącając oponentom broń z ręki.

Można by powyższe samousprawiedliwienie przyjąć w zakresie treściowym utworu, trudno jednak się zgodzić, iż Mroźek „musi” pisać . . . nienajlepiej. „Alfa” jest zlepkiem black-outów, napisanych sztywnym, schematycznym językiem, pełnym sloganów — oh! zdaję sobie sprawę, że znakomity autor może się upierać, iż jego zamiarem było pokazanie nam ludzi, którzy już nie potrafili inaczej mówić. Sęk w tym, że w sztuce nie ma właściwie ludzi (z nielicznymi wyjątkami), są „postawy”.

Tak znakomity praktyk teatralny, jak Mroźek musi zdawać sobie sprawę, że użyty przez niego język utrudnia pracę aktorom, przeszkadza widzom i zubaża sztukę.

Nie czepiam się wzorowania Alfę na Wałęsę, ani pesymizmu, ani

Tesa Ujazdowska

szargania świętości (zarzuty przewidziane i przewrotnie odparowane przez autora, ba nawet obłożone klątwą „realizmu socjalistycznego”, co wydaje mi się chwytem niezbyt fair w tym wypadku) — zgadzam się, iż twórca ma prawo do przedstawiania obrazu wykreowanego we własnej wyobraźni, ale powołuję się również na prawo widza, do własnej opinii: dla mnie jest to obraz fałszywy przez nieprawdziwe rozłożenie akcentów, przez zachwianie proporcji.

Wciąż na kolanach, przepraszam mego ulubionego autora: nawet największemu może się coś nie udać.

Pomimo wszystkich powyższych zastrzeżeń uważam, że bardzo dobrze zrobił Teatr Nowy wystawiając w POSK-u „Alfę”.

Najświętszym obowiązkiem teatru jest ożywiać umysły, prowokować do myślenia i dyskusji — nie ma gorszego teatru, niż teatr nudny, pozostawiający widza obojętnym.

Paweł Dangel, który „Alfę” reżyserował, dokonał bardzo wiele, starając się uprzystępnąć język sztuki, wycinając dłużyzny i powtórzenia, nawet próbując wyprostować pewne „przechyły”.

Bardzo dobre dekoracje Roberta Czajkowskiego obróciły słabości poskowej sceny na jej plusy, były nie tylko „funkcjonalne” (wiem, wiem, żaden scenograf nie lubi tego słowa!) ale i stwarzały klimat tej luksusowej celi urządzonej z kosztownym gustem.

W tytułowej roli Alfę wystąpił gościnnie Zbigniew Janowski aktor niezwykle utalentowany, pełny prostoty, przekonywający i budzący ogólną sympatię nie tylko ze względu na skojarzenia z pierwowzorem postaci. Spośród wyrównanego na ogół zespołu,

ogromnie podobał mi się Daniel Woźniak w roli Kappy, skupiony, dramatyczny, o wielkiej sile wyrazu. Woźniak zagrał sprawy poza tekstem Mrożka i gdyby nie on, sztuka jeszcze bardziej przechyliłaby się w nieprawdę i fałsz. Dzięki Woźniakowi, Kappa który miał być jeszcze jedną prezentacją „postawy” ożył, stał się człowiekiem, załamany wprawdzie, ale nie złamanym. Znakomita, przejmująca rola.

Interesująco wypadł Tomasz Borkowy w roli Gammy, jakże inny od Dolskiego, czy Fantazego, nerwowy, rozlatany, zwycięsko borykający się ze sloganowym tekstem.

Joanna Kańska zarysowała swoją Ete bardzo delikatnie, wręcz pastelowo, może przydałoby się ją nieco pogłębić?

Nie podważam zdolności aktorskich Krzysztofa Różyckiego, który grał Betę na dużym luzie, swobodnie, niemal nonszalancko — moim zastrzeżeniem jest, że był to przeciwnik niegroźny. Nie chodzi mi o używanie krzyku, broń Boże, po prostu nie czułam, że za tym SB-kim ktokolwiek stoi. Gdyby nasi przeciwnicy tak wyglądali, walka nie trwałaby długo. Lambda w wykonaniu Janusza Guttnera — znakomicie „wielebny” i dostojny, choć prezentowana przez niego postawa wzbudzi z pewnością liczne dyskusje. Podobał mi się też w beztekstowym epizodzie Henryk Zieliński, anonimowy a przecież niebezpieczny.

Do Matyldy Szymańskiej zgłaszam żal, że zanadto poszła na estradowość, tworząc postać zabawną, ale przejaskrawioną i nie przystającą do całości przedstawienia.

A swoją drogą, jak to przyjemnie, że poziom spektaklu był tak wysoki, iż można sobie powybrzydzać nad drobiazgami!

I bez względu na zastrzeżenia pod adresem samej sztuki, uważam że każdy powinien ją zobaczyć, choćby po to, aby wysnuć z niej własne refleksje. Urszuli Świącickiej należą się podziękowania za upór z jakim pokonując trudności, organizuje kolejne przedstawienia, dodając swoją cegiełkę do rozwoju teatru emigracyjnego.

